Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 195 (Rok XII, Nr 5) 1 marca 1952 Cena (Price) 1/6

WIDMO „MITTELEUROPY"

CZŁONEK Bundestagu prof. Hermann Brill, przemawiając imieniem delegacji niemieckiej na plenum londyńskiej konferencji poświęconej sprawom Europy Środkowej i Wschodniej, dał wyraz daleko idącym zainteresowaniom niemieckim tą częścią kontynentu. Zaapelował on do uczestników konferencji, by zbadali, „czy nie byłoby pożądane rozszerzyć znakomitą ideę związków regionalnych nie tylko na Austrię, jak o tym jest mowa w jednym z raportów, ale również na Niemcy".

To dosyć ostrożne, ale niemniej wyraźne sformułowanie stanowi po prostu ofertę przystąpienia Niemiec do zamierzonego bloku krajów Europy Środkowo-Wschodniej. W praktyce oznaczałoby to realizację naumannowskiej koncepcji „Mitteleuropy", wysuniętej podczas Pierwszej Wojny Światowej, a teraz wzmocnionej jeszcze przez propozycję „skoncentrowania niektórych przemysłów", słowem przez jakiś środkowo-europejski „plan Schumana".

Nie może ulegać wątpliwości, że twór tego rodzaju byłby typowa „societas leonina", w której wszystkie niemal korzyści przypadłyby stronie, górującej nad całą resztą tak „rozszerzonego" regionu zarówno masą swego zaludnienia jak swym potencjałem gospodarczym. Politykom z Bonn, jak widać, nie wystarcza już perspektywa hegemonii w Europie, zjednoczonej w ten czy inny sposób, — pragną oni nadto ściślejszego „związania" Niemiec z Polską, basenem naddunajskim i krajami bałkańskimi.

Jakże w tych warunkach wygląda zapewnienie prof. Brilla, skierowane do „przyjaciół" z Europy Środkowo-Wschodniej, że demokratyczne Niemcy zwalczać będą wszystkie objawy, które mogłyby stwarzać wrażenie „nowego niebezpieczeństwa niemieckiego", — i jakże wygląda zgłoszony przezeń imieniem delegacji niemieckiej dezyderat utworzenia stałej komisji, której celem byłoby „eliminować nieporozumienia natury psychologicznej w stosunkach Europy Wschodniej z Niemcami"?

Nim taka komisja byłaby powołana do życia, konieczne jest wyeliminowanie nieporozumienia głównego i podstawowego: Niemcy, jeśli istotnie chcą stosować zasady demokracji i równości w stosunkach międzynarodowych, winny unikać wszystkiego, co by stwarzało obawy, że celem ich jest znowu zapanowanie, w tej czy innej postaci, nad swymi słabszymi sąsiadami w Europie Środkowo-Wschodniej, oraz winny zostawić im swobodę zorganizowania się według ich własnej woli. Tymczasem już obecnie obserwujemy w prasie niemieckiej i posunięciach polityki niemieckiej wyraźną dążność do torpedowania w różny sposób koncepcji zgrupowania regionalnego Europy Środkowo-Wschodniej. Znajduje to m. i. wyraz w gorączkowym poszukiwaniu wśród emigracji z tych krajów ludzi, którzy by już teraz wyrażali gotowość współpracy politycznej z Niemcami oraz ulegali niemieckim sugestiom politycznym i gospodarczym.

Jest to jeszcze jednym dowodem, jak nawet wśród polityków niemieckich, głoszących zasady demokratyczne i „europejskie", żywa jest choćby w zmodyfikowanej postaci, idea niemieckiej ekspansji na wschód. Tymczasem, w przekonaniu naszym, powstanie silnego bloku krajów Europy Środkowo-Wschodniej, który utrzymywałby dobre sąsiedzkie stosunki z Niemcami, ale w charakterze pełnoprawnego partnera, na dalszą metę przysłużyłoby się nawet sprawie demokracji w samych Niemczech. Rozbicie regionu środkowo-europejskiego na szereg niedużych państw, przeważnie słabych, skłóconych i łatwych do zawojowania gospodarczego i politycznego, stwarza dla odradzających się wciąż w narodzie niemieckim instynktów zaborczych pokusę, która wypycha na wierzch czynniki militarne i antydemokratyczne i daje im władzę w Niemczech. Gdyby w społeczeństwie niemieckim i w jego warstwach kierowniczych utrwaliło się przekonanie, że awantury „wschodnie" są niebezpieczne i lepiej się w nie nie wdawać, przestałoby też istnieć główne źródło tych pokus. I dopiero wówczas powstałaby szansa takich przemian psychicznych w społeczeństwie niemieckim, które by zrobiły z Niemiec prawdziwego członka rodziny europejskiej, szanującego niepodległość i uprawnienia wszystkich składających ją narodów. Równocześnie zaś dopiero wtedy ustałyby w narodach Europy Środkowo-Wschodniej obawy przed niebezpieczeństwem niemieckim — o których mówił prof. Brill —, przez co odpadłaby inna przyczyna dotychczasowego obustronnego napięcia.

Na tym też między innymi polega rola, jaką zgrupowanie krajów Europy Środkowo-Wschodniej odegrałoby w utrzymaniu należytej równowagi czynników nie tylko politycznych i gospodarczych, ale i psychologiczno-kulturalnych w przyszłej wolnej Europie. Inaczej obawy — obawy jakże uzasadnione! — przed nowymi niemieckimi dążeniami do hegemonii i zapanowania nad sąsiadami rozsadzą ideę jedności europejskiej, nim będzie mogła ona w ogóle być wprowadzona w życie. Już teraz widzimy, jaką falę niepokoju wywołują wzrastające żądania i roszczenia niemieckie we Francji. Można sobie wyobrazić, o ile jeszcze większy stanie się ten niepokój i we

Francji i u wszystkich innych sąsiadów Niemiec z chwilą, gdy zlikwidowane zostanie niebezpieczeństwo sowieckie.

Przyszłość wykaże, o ile konsekwentni i odważni — wobec własnego społeczeństwa przede wszystkim — są ci Niemcy, którzy głoszą hasła zespolenia Europy na zasadzie równych praw wszystkich tworzących ją narodów. Wiadomości, jakie co dzień przynosi prasa, wcale nie świadczą o jakichś zasadniczych przemianach w poglądach i nastrojach społeczeństwa niemieckiego w tym zakresie, — wprost przeciwnie, uderza zdumiewająco szybki nawrót do dawnych nałogów i apetytów.

CIĘŻKI PORÓD ARMII EUROPEJSKIEJ

Organizacja „armii europejskiej" idzie jak po grudzie, przy czym głównym szkopułem jest tu nadal sprawa uzbrojenia Niemiec. Pod naciskiem amerykańskim Francuzi zgodzili się na odstępstwa od pierwotnego planu Plevena, w szczególności na powiększenie rozmiarów podstawowych jednostek „narodowych", mających wchodzić w skład armii, z batalionu na dywizję, — słowem zgodzili się na stworzenie dywizji niemieckich z pełnym wyekwipowaniem, a nawet z lotnictwem taktycznym. W dalszym przebiegu rozmów i rokowań zmniejszono też poważnie uprawnienia naczelnych władz przyszłej armii europejskiej na rzecz uprawnień rządów poszczególnych reprezentowanych w niej państw.

Rosnące jednak roszczenia i postulaty niemieckie, niedawne wystąpienie rządu w Bonn w sprawie obszaru Saary, a nie w najmniejszej mierze także niemiecka propaganda rewizjonistyczna za odzyskaniem ziem na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej, zaalarmowały znów na dobre opinię francuską. W obawach tych grają rolę różne względy i przewidywania. Najpierw więc Francuzi boją się, że Niemcy, z chwilą gdy będą miały odbudowany przemysł wojenny i zorganizowanych choćby kilkanaście dywizji, mogą w pewnym momencie wypowiedzieć posłuszeństwo „europejskiej wspólnocie obronnej" i powołać do życia własną armię narodową. Udaremnić taki krok byłoby bardzo trudno, zwłaszcza gdyby Niemcy zawarły równocześnie porozumienie z Rosją, szachując w ten sposób Zachód.

Odwrotnie przyjmując, że Niemcy pozostaliby w armii europejskiej przez czas jakiś, mogą oni — jak się boją Francuzi — sprowokować wojnę z Rosją dla odzyskania swych prowincji wschodnich. Wojny zaś z Sowietami społeczeństwo francuskie boi się panicznie.

Poza tym wielką rolę gra też ogólna we Francji obawa przed hegemonią niemiecką w Europie. Nawet dla politycznych marzycieli wizja odbudowanego „imperium Karola Wielkiego" zaczyna się przedstawiać coraz mniej zachęcająco. Okazało się to wyraźnie w czasie niedawnej debaty w Izbie Deputowanych, która omal doprowadziła do upadku gabinetu Faure'a. Zdołał się on uratować, większością zresztą tylko 40 głosów, przez modyfikację wniosku w sprawie armii europejskiej, uwzględniającą przynajmniej częściowo punkt widzenia opozycji.

Ostatni z postulatów tej rezolucji domaga się poczynienia dalszych starań, by w armii europejskiej reprezentowana była również Wielka Brytania. Dezyderat ten stał się mniej nierealny, niż to jeszcze niedawno wyglądało. W brytyjskiej Labour Party — jak zresztą i wśród szerokich rzesz ludności kraju — żywe są obawy przed zbrojeniem Niemiec; dał im niedawno skrajny wyraz b. minister Dalton. Wobec jednak presji amerykańskiej pojawiły się w Partii Pracy dążności, by próbować przynajmniej złagodzić ujemne strony owego „German re-armament" i zmniejszyć, o ile się da, niepokój Francji przez udział brytyjski w armii europejskiej. W tym kierunku poszło memorandum opracowane przez członka Izby Gmin Woodrowa Wyatta i dyskusja, jaka się toczyła w trzech komisjach Partii Pracy: komisji spraw zagranicznych, obrony i komisji politycznej. Ostateczne decyzje jeszcze nie zapadły, ale ogólny sentyment, jak podają dziennik:, opowiada się za dołączeniem przynajmniej większej części dywizji brytyjskich na kontynencie do armii europejskiej.

Dla uzupełnienia tego obrazu dodajmy, że i w Niemczech opozycja przeciw zbyt daleko idącemu angażowaniu się na rzecz obu „wspólnot": europejskiej i atlantyckiej wcale nie wygasła. Jej głównym przedstawicielem jest przywódca Partii Socjalno-Demokratycznej dr Schumacher, który wciąż robi aluzje do możliwości dojścia do jakiegoś porozumienia z Sowietami i uzyskania tą drogą zjednoczenia Niemiec.

W obliczu tych nastrojów w Europie Zachodniej Amerykanie nie ustają jednak w popychaniu naprzód sprawy armii europejskiej. Na londyńskiej konferencji trzech ministrów spraw zagranicznych: Edena, Achesona i Schumana, którzy do swych narad dopuścili później także kanclerza Adenauera, zapadły decyzje w sprawie uruchomienia przemysłu wojennego w Zagłębiu Ruhry i rozdziału kosztów obrony Europy, równocześnie zaś Francja otrzymała gwarancję anglo-amerykańską obrony jej przed ewentualnym atakiem niemieckim w przyszłości. Wkrótce potem w Lizbonie, gdzie obradowała konferencja ministrów obrony narodowej 14 państw Paktu Atlantyckiego, ustalono ostatecznie, że w ciągu roku bieżącego armia europejska osiągnąć ma stan 25 dywizji, a do końca 1954 r. — 50 dywizji, z tym że w nieokreślonej bliżej przyszłości miałaby ona dojść do 100 dywizji. Uchwały lizbońskie wymagają ratyfikacji przez parlamenty. Wątpić przeto należy, by w ten sposób usunięte zostały wszystkie trudności stojące w drodze powołaniu armii europejskiej. W tym zakresie będziemy niewątpliwie jeszcze świadkami wielu niespodzianek

MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

Decyzją obecnego gabinetu brytyjskiego projekt nowego budżetu przesunięto z 1 kwietnia na 11 marca. Dewaluacja funta w 1949 r. zapobiegła tylko czasowo załamaniu się gospodarki krajowej. Po mniej więcej dwuletniej przerwie efekty ogólnej inflacji w kraju oraz deficytu w obrocie zagranicznym dają się znów we znaki. Nawet osiąganie maksymalnego eksportu na jaki Wielką Brytanię stać w tej chwili, nie jest w stanie wyrównać katastrofalnego deficytu.

Tak więc, stojąc u progu nowego kryzysu, brytyjski kanclerz skarbu p. Butler, zdecydował się na zrewidowanie finansowej polityki brytyjskiej i wprowadzenie takich zmian, które byłyby w stanie zapobiec kryzysowi, powstrzymać inflację i wyrównać bilans pieniężny z zagranicą.

Ograniczanie importu bez jednoczesnej zmiany finansowej polityki wewnętrznej nie dałoby pozytywnych wyników i mijałoby się z celem. Inflacja powoduje bowiem nadmiar pieniądza na rynku i wzrost popytu. Ażeby powstrzymać inflację należy zmniejszyć popyt. W wypadku brytyjskim dróg do tego wiedzie kilka. Może to być zwiększenie podatku dochodowego (income tax), zwiększenie podatku od kupna (purchase tax), zmniejszenie lub całkowite zniesienie subsydiów rządowych na żywność i wreszcie zlikwidowanie tzw. artykułów „utility". Trudno jest dziś przewidzieć, które z wyżej wymienionych czynników będą grały zasadniczą rolę w ukształtowaniu nowego budżetu.

Na międzynarodowej konferencji gospodarczej w Bretton Woods w 1944 r. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone stały się inicjatorami nowego liberalizmu ekonomicznego. Powołano do życia Międzynarodową Organizację Handlową (International Trade Organisation), Bank Świata dla Odbudowy i Rozwoju (International Bank for Reconstruction and Development) i Międzynarodowy Fundusz Monetarny (International Monetary Fund). Wielka Brytania jest jednym z głównych partycypantów tych instytucji i z tej racji nie może wprowadzać żadnych dyskryminacji importowych ani eksportowych. Tak więc Wielka Brytania stoi pomiędzy młotem i kowadłem. Z jednej strony trudności gospodarcze zmuszają ją do ograniczenia swobody handlu z zagranicą, z drugiej zaś strony jest zobowiązana do kontynuowania liberalizmu handlowego i brania udziału w jednoczeniu świata zachodniego, od którego

zależy jej pomoc finansowa i handlowa w chwili obecnej i stabilizacja gospodarcza w przyszłości.

J. B.

WYJAZD PREZ. BIELECKIEGO DO AMERYKI

W czwartek, 28 ub. m. wyjechał do Stanów Zjednoczonych prezes T. Bielecki na parotygodniowy pobyt. Równo trzy lata temu prez. Bielecki odwiedził Stany Zjednoczone po raz pierwszy, nawiązując liczne kontakty z kołami politycznymi, senatorami i kongresmanami, a także przedstawicielami wojska amerykańskiego. Główne zadanie, jakie sobie nakreślił wówczas prez. Bielecki, polegało na postawieniu sprawy uwolnienia Polski w amerykańskiej polityce i opinii publicznej.

Od ostatniego pobytu w Stanach Zjednoczonych osią działania prez. Bieleckiego było utworzenie o ile możności jednego ośrodka polityki polskiej w oparciu o ciągłość prawną państwa polskiego. Na tej linii leży i powołanie do życia Rady Politycznej oraz utwierdzenie jej pozycji w życiu politycznym polskim w ciągu ubiegłych dwóch i pół lat. Ostatnie rozszerzenie Rady o dwa dalsze ugrupowania jest dowodem, że zasada organicznego łączenia żywych sił politycznych dla walki o sprawę polską na terenie międzynarodowym jest jedynie właściwa. I chociaż nie nastąpiło jeszcze pełne zjednoczenie, można przyjąć, że tylko tą drogą dojdzie się do jedności.

Wyjazd prez. Bieleckiego do Stanów Zjednoczonych przypada w momencie, kiedy formułowane będą programy partii politycznych w nadchodzących wyborach i kiedy pogłębia się zainteresowanie polityki amerykańskiej sprawą ujarzmionych dziś przez Sowiety narodów środkowo-europejskich z Polską na czele. W związku z tym wyjazd prez. Bieleckiego nabiera szczególnej wagi.

RUSYFIKACJA

Otwarty niedawno w Warszawie „Instytut polsko-radziecki" przy ulicy Foksal zabrał się bardzo energicznie do dzieła kulturalnej rusyfikacji kraju.

Instytut jest dziełem „Towarzystwa przyjaźni polsko-radzieckiej" i głównym jego zadaniem jest „dostarczenie podstaw naukowych do pogłębiania tej przyjaźni."

Pierwszym jego dziełem było zorganizowanie kursów dla wykładowców języka rosyjskiego. Niewinne to zajęcie jest w gruncie rzeczy potężnym narzędziem propagandy bolszewickiej jeśli się zważy, że Polska jest pokryta siecią blisko 3 tys. kursów języka rosyjskiego docierających nie tylko do wszystkich miast i miasteczek, ale nawet do większych wsi.

O wiele jednak niebezpieczniejsze są „zadania naukowe" instytutu. Oto ma on przyczynić się do rozszerzenia przekonania, że sowieccy uczeni są najlepsi na całym świecie, że pierwsi dokonali wynalazków, na Zachodzie przypisywanych komu innemu itp.

Instytut otworzył wielką bibliotekę, zorganizował komitet odpowiedzi na pytania listowne, wreszcie postanowił „nawiązać bezpośrednią współpracę z uczonymi radzieckimi". Jako pierwsi wystąpią na wykładach w instytucie prehistorycy z Sowietów. Na czym to polega łatwo się zorientować, gdy się przypomni jak w grudniu na zjeździe w Otwocku historycy sowieccy uczyli polskich, jak mają rozumieć... historię Polski.

REKWIZYCJA BYDŁA

Ogłoszenie w Warszawie ustawy o przymusowej dostawie bydła i świń celem zaopatrzenia miast w mięso, a jeszcze bardziej komentarz zawarty w wspólnej odezwie PZPR i ZSL wskazują, że rząd komunistyczny zmuszony został do całkowitego zerwania z pozorami dobrowolności dostaw żywnościowych.

Chłopi tak dalece poszli w akcji omijania „kontraktacji", że trzeba się było uciec do środków przymusowych, pod pozorem zwalczania „kułaków i spekulantów". Wśród argumentów propagandowych, mających uzasadnić ustawę wyciągnięto z lamusa słabe Zjednoczone Stronnictwo Ludowe, licząc, że może będzie ono mogło choć trochę pomóc. Odezwa PZPR i ZSL jest ciekawym dokumentem. Czytana przez radio przez około pół godziny, rozklejana na wszystkich wiejskich płotach, ma przekonać chłopa, że „odniesie on korzyść" z nowej ustawy, która zmusza go praktycznie do oddania państwu co najmniej jednej świni rocznie.

Zwraca się ona przeciw ludziom, „którzy chcieliby by kraj nasz pozostał bezbronny, zacofany i biedny, tj. taki jaki był przed wojną". Twierdzi ona, że nowa ustawa „nie w smak będzie tym, którzy pchają chłopa do zarżnięcia maciory, by mu potem po drogiej cenie sprzedawać prosięta, którzy namawiają go do zmniejszenia hodowli, bo spodziewają się tym sposobem zwiększyć swoje zyski paskarskie". Nie w smak będzie ona „kułakom i kułackim kumotrom, którzy wykręcając się od swych obowiązków rzucali cień na większość chłopów".

Istotne jednak jest nastawienie, a nie wymysły. Połowa odezwy jest poświęcona na przekonywanie małorolnego i średniego chłopa, że przymusowe dostawy są dla nich korzystne. Tak szeroka gama argumentów jest tu wprowadzona od obrony przed „imperialistycznymi bankierami z Wall Street", przez „neonazistowskiego Adenauera" aż po dokładne wytłumaczenie ile to kilogramów wegla można dostać. gdy się na czas dostawi świnie, że czytelnik będzie musiał być podejrzliwy. Tłumaczą mu, że „nie ma obawy o spadek cen", że „nikt mu nie przeszkadza w rozwijaniu hodowli" i wobec tego będzie on musiał zestawić te słowa z rzeczywistością.

Nie tak dawno została ona odmalowana przez uciekiniera z komunistycznego raju chłopów. Twierdził on, że właśnie średni chłopi kryją świnie, chowają w chlewach zakamuflowanych w lesie lub wygrzebanych na środku pól, gdyż reprezentują one jedyną nadzieję na przetrzymanie trudnych czasów.

Odezwa PZPR i ZSL odsłania więc tylko znany stan; chłop nie ma zaufania i nie chce pracować za darmo. Oficjalnie przekonuje się go odezwami, a w rzeczywistości na mocy ustawy wyśle się na wieś zbrojne ekipy, które mu wszystko zabiorą.

ONI NA PEWNO SZPIEDZY

Jeszcze jeden proces „amerykańskich szpiegów". Czterech ludzi na ławie oskarżonych i długi korowód świadków odpowiadających z więzienia. Oskarżeni oczekują na wyrok śmierci a świadkowie kopią sobie grób zeznaniami zwróconymi przeciw oskarżonym. Wszystko zgadza się lepiej, niż w sztuce teatralnej. Prokurator powiada — wy szpiedzy. Oskarżeni odpowiadają — my szpiedzy, a chór świadków powtarza ponuro — wszyscy szpiedzy. Nikt nie ma sił, by podnieść palec w kierunku sądu i prokuratora i powiedzieć — oni na pewno szpiedzy.

Nowe oskarżenia skończonego procesu czterech i wyraźnie już zaznaczonego procesu świadków mówią o szpiegostwie ekonomicznym i próbach sabotażu w kopalniach i hutach. Nie wspominają jednak o reakcji i burżuazji. Bo same nazwiska skazanych mówiły przecież, że z burżuazją nie mieli nic wspólnego: Wyrwas, Marszałek, Bartosz, Szczurek. Jedyne, co można im było przykleić to dawna przynależność do WiN, do AK, do NSZ.

Wina została udowodniona przyznaniem, zeznaniami świadków i artykułami prasy. Wykazano, że wywiad amerykański specjalnie czyha na „przemysł Polski ludowej" — oskarżeni, jako produkt uboczny tego zjawiska zostali ekspediowani na tamten świat i cisza do następnego występu sądu, prokuratora i nowych oskarżonych.

Wszystko to jest banalne w swej ponurości i tragizmie. Uderza jednak, że reżim tak zajadle wojuje z Ameryką, która jak dotąd niczym specjalnie złośliwym nie zaznaczyła się w naszej historii poza ... dopomożeniem komitetowi lubelskiemu w objęciu rządów.

„Ameryka i Amerykanie imponują komunistom o wiele bardziej, niż jakiejkolwiek innej części społeczeństwa w kraju" — powiedział niedawno w Londynie uciekinier z Warszawy, do niedawna czynny komunista.

To członkowie partii najchętniej

ubierają się w amerykańskie krawaty, amerykańskie koszule i chętnie czuli by się milionerami z Wall Street.

To z własnym sumieniem PZPR prowadzi wojnę w niezliczonych procesach skazując ludzi za to, że komuniści z dwóch materializmów wolą w głębi ducha amerykański.

NAJPIERW KOMUNIKAT POTEM KANALIZACJA

Znany to obraz — wszyscy się spieszą i w strachu budują. Aby udowodnić, że wykonali plan, trzeba dostarczyć żądane od nich produkty. W jakim stanie? Mniejsza o to.

Przez cztery lata działał w kraju Związek Osiedli Robotniczych. W ubiegłym roku ,,wykazał się" wybudowaniem ponad 100 tys. nowych izb dla pracowników na Śląsku, w Nowej Hucie i w Warszawie. Propaganda we wszystkich językach zachłystywała się sukcesami reżimu, ,,który robotnikom zapewnia mieszkania".

Aliści stało się coś, co zepsuło piękne plany i jeszcze piękniejsze sprawozdania. W połowie lutego w Warszawie odbyła się konferencja poświęcona przeglądowi dokonań ZOR na przestrzeni jego istnienia. Wniosek wypowiedziany w skromnym komunikacie, wydanym na zakończenie, brzmi smutno: ,,W roku bieżącym główny nacisk położony będzie na poprawienie ciągle istniejących niedostatków w wykańczaniu budynków oddawanych do użytku". Komunikaty takie nie łatwo przechodzą przez wąskie gardła komunistycznej propagandy. Trzeba przynajmniej większej ilości skarg, komisji kontrolnych, konferencji partyjnych i specjalnego ciała układającego komunikat, tak aby nie było skandalu a jednocześnie by jednak dać satysfakcję skrzywdzonym masom mieszkającym w niedokończonych domach.

W świetle takich komunikatów rozumie się wiadomości w gazetach, że np. taki to obiekt Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej w stolicy został już oddany nowym lokatorom, a następnego dnia wiadomość, że rozpoczęte zostały prace, by na tym samym odcinku budowy MDM zapewnić centralne ogrzewanie budynkom. Zatem najpierw lokatorzy a potem ogrzewanie. Podobnie jak w innych miastach, gdzie rozchodzą się skargi, że najpierw idzie komunikat o skończeniu domu, potem wprowadzają się ,,do jasnych nowoczesnych izb mieszkańcy, dawniej pozbawieni przez kapitalistów możliwości urządzenia sobie ludzkich warunków bytu", a potem zaczyna się instalację... kanalizacji.

STEFAN ŁOCHTIN

OŚRODEK PRZYSZŁOŚCI W EUROPIE ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ

PESYMIŚCI czasem mówią, że ludy środkowo-wschodniej Europy są za bardzo rozbite, za dużo reprezentują sprzecznych interesów, by w tym miejscu można było stworzyć trwały mechanizm politycznego współdziałania, wystarczająco niezależny od Rosji i Niemiec.

Poglądy te reprezentują przeszłość, trochę teraźniejszość, nie biorą jednak pod uwagę przyszłości, której elementy tworzą się od kilkudziesięciu lat samorodnie, a w ostatnich kilkunastu — pod presją najazdów i starć wielkich sił międzynarodowych.

Z wyjątkiem Czechów narody tej części Europy były przez wieki rolnicze i w dużym stopniu pod wpływem przyzwyczajeń i poglądów związanych z rolnictwem kształtowały swoje wyobrażenia o własnych celach politycznych. To była np. jedna z różnic pomiędzy Polakami i Czechami, różnica rzekomo psychologiczna a w gruncie rzeczy mająca swoje uzasadnienie nie tylko w odrębnych przeżyciach, ale także i to bardzo mocno w różnych interesach i zainteresowaniach. Narody środkowo-wschodniej Europy były przeciwstawiane sobie nawzajem na tle sporów terytorialnych, w których zagadnienie ziemi grało rolę bodaj największą. Na przełomie wieków XIX i XX stały się one dlatego rynkiem zbytu towarów niemieckich, oraz terenem lokaty zachodnio-europejskich kapitałów, organizujących eksploatację ich naturalnych bogactw surowcowych.

NOWE SIŁY

Z początkiem naszego stulecia kraje te przeszły poważne zmiany w rolnictwie. Duża własność ziemska, która przez kilka wieków była kośćcem ich gospodarstwa zaczęła się kurczyć w szybkim tempie i wystąpiło dążenie drobnych rolników do wywłaszczenia wielkich współzawodników na własną korzyść. Proces ten, obecnie spaczony przez bolszewizm, był podstawą wszystkich ,,reform rolnych" ustawowych i automatycznych na całym terenie od Rygi po Belgrad. Zaczynał on się rozdrobnieniem gospodarstw rolnych a społecznie likwidował dawne warstwy rządzące narodów środkowo-europejskich, spychając je do roli inteligencji miejskiej, gdzie rozpuszczały się powoli wśród konkurentów z mieszczaństwa, robotników i chłopów. Jednocześnie rozdrobnienie własności na wsi spowodowało konieczność znalezienia ujścia dla nagromadzonych sił pracowniczych. Przed ostatnią wojną w Polsce pęd do miasta, próby znalezienia zatrudnienia w rzemiośle i handlu były bardzo mocne, nie mówiąc już o fali robotniczej, która na początku XX wieku napłynęła do fabrycznych miast Łodzi, Sosnowca itp.

Naciski tego typu nie tylko istniały w Polsce, w pewnym stopniu we wschodnich rejonach Czechosłowacji i na Węgrzech, słabiej w Rumunii. W naszym kraju zrozumienie tych problemów stawało się coraz powszechniejsze i organizacje polityczne w swych programach zaczęły podkreślać konieczność pogłębienia rozbudowy przemysłu, czego wyrazem m. i. było ogólnonarodowe poparcie i nawet entuzjazm wywołany rozbudową COP, chociaż uzasadniona ona była nie tylko argumentami ogólnymi, lecz w pierwszym rzędzie wojskowymi.

LIKWIDACJA NIEMCÓW

Proces społeczny, zaczęty po biednych wsiach naszej części Europy był nie tylko konkurencją dla wielkiego właściciela ziemi, był on w większym stopniu zapowiedzią likwidacji obcego przemysłowca i pośrednika, był tym elementem, który w sprzyjających warunkach politycznych musiał usunąć wpływy niemieckie z całej Europy środkowo-wschodniej.

Sprzyjające warunki stworzyli sami Niemcy. Dwie wojny, w których mieszkańcy krajów środkowo-europejskich nauczyli się strachu i nienawiści wobec munduru najeźdźcy, bardziej zagroziły kolonistce i przemysłowcowi czy rzemieślnikowi niemieckiemu, niż wszystkie propagandy miejscowych ruchów narodowych. W latach 1939-45 Niemcy naprzód ściągnęli z całego Wschodu zamieszkałych tam przez wieki kolonistów, a potem, przegrywając, spowodowali ucieczkę wszystkich swoich obywateli na zachód. W naszych krajach zaś zostawili zbudowane fabryki, konieczne dla potrzeb w Rosji i dla obrony przed nalotami aliantów zachodnich.

Powstała więc próżnia, w którą z bolszewikami, czy bez nich musiały się wlać społeczne siły narodów miejscowych, popychane jeszcze przez narosłe w ciągu kilkudziesięciu lat ambicje narodowe i poczucie świeżości własnych sił. Próżnia ta w ten czy w inny sposób została wypełniona i nie ma miejsca dla tych, którzy je opuścili. To stwarza solidarność w Czechach, Słowacji, na Węgrzech i w Polsce. Ludzie żyjący dawniej z własności przemysłu niemieckiego, są zainteresowani, by nie wróciła ona do Budapesztu, Ostrawy i Katowic.

Niemcy poza tym przyczynili się do zwiększenia warstwy ludzi pracujących w przemyśle i oswojonych z maszyną. W ostatniej wojnie miliony

przymusowych robotników umieścili w swych fabrykach — ludzie ci po powrocie do domu roznieśli świadomość, że siłę i powodzenie nowoczesnego świata wykuwa się wśród maszyn, w fabrykach.

Na tych elementach bolszewicy mogli przez pewien czas żerować politycznie. Dziś są powszechnie znienawidzoną siłą obcą, która jednak ma do spełnienia poważną rolę, aczkolwiek nie czyni tego z miłości do świeżo podbitych poddanych.

ROSJA MUSI

Wzmożenie uprzemysłowienia Europy środkowo-wschodniej jest skutkiem potrzeb i konieczności imperium sowieckiego. Podbój Chin stworzył tam rynek na towary, którymi można zastąpić dotychczasowe panowanie przemysłowo-handlowe Anglosasów. Towary te nie mogą być obecnie wyprodukowane w Rosji, a łatwo je uzyskać w Czechach, w Polsce itp. Jednocześnie Rosja zbroi się i musi mieć bazy przemysłu wojennego blisko ewentualnych frontów. Gdyby posiadała całe Niemcy, pewnie by nie popierała wielkich planów uprzemysłowienia pomiędzy Bałtykiem a Dunajem. W dzisiejszej jednak sytuacji musi. Nie byłaby też pewnie skłonna do tworzenia wielkich zgrupowań przemysłów powiązanych poprzez granice poszczególnych krajów, raczej powodowałaby specjalizację poszczególnych republik, tak jak to uczyniła w centralnej Azji. Motywy polityczne jednak w tym wypadku ustępują przed logiką techniczną nowoczesnej wojny. Wynalazek bomby atomowej zmusza do rozproszenia przemysłu i do posiadania największej ilości całkowicie niezależnych ośrodków, aby każda grupa armii mogła być samodzielnie zaopatrywana. To tłumaczy dlaczego tak nagle Moskwa obdarza Węgrów, Polaków i Czechów zwiększoną ilością kopalń (sowieckimi maszynami węglowymi) oraz urządzeniami hut, czy nawet fabryk samochodów. Rosja musi...

To przyspieszenie procesu, wymagającego więcej czasu w normalnych warunkach, jest bolesne dla krajów zainteresowanych, ale jednocześnie stwarza fakty, z którymi polityka polska, węgierska i czeska będzie musiała się w przyszłości poważnie liczyć. Oto na terenie tych trzech państw powstaje olbrzymi przemysł ciężki. W razie powrotu niepodległości tych krajów łatwo może stać się on bazą rozwoju przemysłów lekkich. Powstają naturalne powiązania i uzupełnienia pomiędzy przemysłowymi organizacjami tych trzech krajów, a rozplątanie ich byłoby najprawdopodobniej trudne i kosztowne, będą więc musiały z sobą współpracować.

ZBIEŻNOŚĆ INTERESÓW

W Europie przemysły te znajdą wspólnego konkurenta w postaci przemysłu niemieckiego, którego miejsce teraz muszą z natury rzeczy wypełniać. Nie zmienia postaci rzeczy fakt, że niektóre produkty nie są jeszcze wytwarzane, że poziom techniczny niektórych nowych gałęzi przemysłu, szczególnie chemicznego musi być niższy niż w Niemczech. Najważniejsze bowiem jest, że w razie usunięcia Rosjan dyrektorzy, organizatorzy kopalń, hut i fabryk, ich inżynierowie i robotnicy tylko wtedy będą mieli możność utrzymania się na powierzchni życia, jeśli nie zostaną „położeni" przez przemysł niemiecki.

Dotychczas panowało przekonanie, że na Węgrzech i w Słowacji są dość mocne sympatie proniemieckie. Tak mogłoby się szczególnie wydawać na tle stanowiska niektórych politycznych grup słowackich. Otóż, co innego być uchodźcą, a co innego reprezentować realne interesy. Sympatie proniemieckie pewnych sfer politycznych w przyszłości byłyby grobem o wiele silniejszych i poważniejszych sfer gospodarczych. Dlatego można spokojnie przewidywać, że wszelkie próby penetracji niemieckiej w przyszłości będą natrafiać na zdecydowany opór nawet tam, gdzie dotychczas mogły liczyć na pewną przychylność. Państwem, które może reprezentować wyjątek od reguły będzie Rumunia, gdzie Niemcy (150 tys. obecnie) stale mieszkają i są elementem rozbudowy przemysłowej. Ponieważ jednak są także poważnym składnikiem partii komunistycznej, przeto nawet ich przychylność należy rozpatrywać z możliwymi zastrzeżeniami.

Na tle tych rozważań pojawia się nowy wyraźny czynnik sytuacji w Europie środkowo-wschodniej. Są nim ludzie związani z powstającą lub rozszerzającą się organizacją przemysłową, pracownicy przemysłu i związani z nimi kierownicy rozdziału (jutro po prostu handlu) oraz transportu. Mają oni na Węgrzech, w Polsce i Czechosłowacji wspólny interes. Jest nim konieczność uwolnienia się z eksploatacji przez gospodarstwo rosyjskie, oraz niedopuszczenia przemysłu niemieckiego tam, gdzie oni sami mogą panować. Tylko taka sytuacja będzie mogła im zapewnić życie, to jest możliwość zarobku, potęgę, do której łatwo się przyzwyczaić a odzwyczaić trudno, spokój robotników itd. Powrót Niemiec jest możliwy jedynie w oparciu o interesy gospodarcze, nie o samą politykę. Interesy zaś gospodarcze trzech wymienionych krajów coraz bardziej muszą nastawiać się na nutę antyniemiecką, chociażby dlatego, że stają się one konkurentem Niemiec.

ROLA POLITYKI

Droga przemian jest jeszcze długa. Ułatwiłoby ją porozumienie polityczne tych trzech narodów, albo in absentia porozumienie co najmniej ich wolnych reprezentantów.

Należy przypuszczać, że porozumienie takie jest możliwe. Ostatnio odbyta konferencja środkowo-europejska w Londynie zarysowała możliwe jego kontury. Na przeszkodzie stoją pewne stare nawyki i nowe uprzedzenia. Pierwszą trudnością może być nieufność do wzajemnych celów terytorialnych. Drugą, wątpliwość czy porozumienie takie byłoby dobrze czy źle widziane przez Amerykanów, gdyż ich niechęć byłaby trudnością początkowo bardzo wielką.

O ile kwestia pierwsza może być kłopotliwa i wymagająca dłuższej pracy, o tyle druga jest prostsza. Amerykanie rozumieją dobrze co to jest trust czy syndykat, mają wrodzone uznanie dla tego typu instytucji i jako naród organizatorów przemysłu zdają sobie sprawę, że podstawą szerszej budowli ekonomicznej jest jakaś umowa wspólników, którzy na początkowym jądrze będą budować cały „business". Zresztą trudno przypuszczać, by ideałem Ameryki była Europa owinięta dokoła przemysłu niemieckiego.

Dlatego istotną kwestią jest, by zagadnienie poruszone zostało wśród samych Czechów, Węgrów i Polaków, oraz by nastąpiła inicjatywa i praca nad stworzeniem porządnego zaczątka siły w Europie środkowo-wschodniej.

WIKTOR TROŚCIANKO

KLAMRA STULECIA

TRZYLETNIE prawie opóźnienie w ukazaniu się pamiątkowej księgi*) na stulecie zgonu Juliusza Słowackiego jest jedną z tysiącznych ilustracji położenia kultury polskiej w epoce, którą pyszałkowaci technicy będą nazywać atomową, a którą humaniści mają prawo określić czasem zacofania i głębokiego kryzysu. Jest to bowiem czas, gdzie myśl ludzka, jeśli nie służy utylitarnym celom warstwy zawodowych organizatorów, nie ma prawa ani warunków przybrania realnych kształtów, warunków komunikowania się i tworzenia nowych dóbr. Interesy doraźne, niesłusznie często zwane politycznymi (bo mają niewiele wspólnego z twórczą polityką), powodują tłumienie życia intelektualnego, jeśli ono nie ma formy uznanej za celową i potrzebną, jeśli nie jest czymś co komuniści nazywają „zamówieniem społecznym".

Do tej pory, mimo trwającej już od pewnego czasu gadaniny na temat ratowania kultury europejskiej nie zdobył się wolny i bogaty świat na żadną poważną inicjatywę pomocy kulturom narodowym, wypartym z krajów ojczystych najazdem największego barbarzyństwa w dziejach. Wartości duchowe tych narodów wydanych na pastwę najazdowi, nie mają szans ani rozwoju ani wzrostu; okazuje się, że w tych technicznych czasach mierzenie sił na zamiary jest prostym błędem arytmetycznym. Arytmetyka zaś — decyduje.

Takie refleksje nasuwa drobny fakt spóźnionego wydania książki dawno gotowej, książki, która słusznie może być chlubą obecnej emigracji polskiej — zbiorowej księgi prac polonistycznych w stulecie zgonu Juliusza Słowackiego. Księga ta jest budującym przykładem zgodnego wysiłku polskiego i cennego wkładu obcych slawistów i polonistów, którzy na twórczość Słowackiego patrzą z takiej perspektywy, jaka nam, Polakom jest trudna do osiągnięcia bez wyeliminowania wszystkich dobrych i złych naszych obciążeń kulturalnych, będących niejako drugą naturą.

Niech nam wolno będzie na tym miejscu wyrazić szczególną radość z ukazania się tego pięknego dzieła zbiorowego, ponieważ jest rzeczą znaną, iż duchem ożywczym, inicjatorem i prawowitym redaktorem naczelnym całej pracy był tak bardzo bliski naszemu pismu profesor Władysław Folkierski.

Zaczepnąwszy rozmachu w tej robocie idzie profesor Folkierski dalej w pracy nad twórczością Słowackiego. Rezultatem zaś tego wysiłku jest gotowa, niewydana jeszcze książka, z której wyjątki stały się ostatnio tematem cyklu niezmiernie interesujących i odkrywczych wykładów profesora Folkierskiego w Polish Research Centre.

Wśród 24 prac dzieła jubileuszowego na przeszło 400 stronach dużego formatu, znajdujemy to, czego próżno dziś szukać na ziemi ojczystej, gdzie komuniści także po swojemu „święcują" Słowackiego. Stek głupstw, obrażliwych dla kultury polskiej w ogóle a dla Słowackiego w szczególności, głupstw, mających uzasadnić istnienie elementów „leninowsko-marksistowskich" w twórczości Słowackiego, jest płaski i odrażający. Recenzja w stylu bolszewickim, rozwodząca się nad wystawionym niedawno „Horsztyńskim" (z dopisanym zakończeniem) jako nad podzwonnym reakcji, zarzucająca reżyserowi, że za mało wydobył na światło tego, co „niewątpliwie" leżało w intencjach Słowackiego — jest miarą ogłupiania społeczenstw w niewoli sowieckiej. Początkowo wyklęty razem z Wyspiańskim i Norwidem jako rzekomy poeta „ciemnej mistyki", zacofania i wybujałego indywidualizmu, został ostatnio Słowacki ułaskawiony. Wyrok śmierci zamieniono na dożywotni łagier, w którym z wielkości poety ma pozostać strzęp taki, jaki z człowieczeństwa pozostaje w sowieckim domu niewoli.

Nawiasem warto zauważyć, że dorabianie zakończeń, tak nierozsądnie podchwycone przez nasz teatr emigracyjny w roku ubiegłym („Grzech" Żeromskiego), staje się nową zmorą repertuarową w Polsce. Niedługo zapewne przerzuci się to do poematów, tak że dzięki Iwaszkiewiczowi, Tuwimowi, Słonimskiemu i Gałczyńskiemu będziemy mieli w krótkim czasie „uzupełnioną" twórczość Słowackiego, Norwida a może i Mickiewicza.

Jeśli o zawartość księgi zbiorowej chodzi, to jedną z najciekawszych prac cudzoziemskich, napisanych z polotem artysty i wiedzą uczonego, znającego doskonale swój materiał, jest rozprawa belgijskiego slawisty Claude Backvis pt. „Słowacki et l'heritage baroque". Praca ta nie ma nic wspólnego z charakterem rozpraw przyczynkarskich. Autor daje w niej szeroki wgląd w twórczość Słowackiego, poddając ją analizie formalnej i tematycznej w takich rozdziałach, jak: „La lumière et les reflets" czy „Nature et action de la création artistique". Backvis umieszcza Słowackiego wysoko w hierarchii sztuki europejskiej, słusznie podkreślając te elementy, które w naszych czasach od dawna były odkrywcze na skalę światową. Uczony belgijski jest nam bliski nie tylko wtedy, gdy z wielką łatwością porusza się w epoce polskiego baroku, gdy rozkoszuje się bogactwem językowym i subtelnościami stylu Słowackiego, lecz przede wszystkim, gdy pisze: „Il y a encore tant de choses dans l'oeuvre de Słowacki, et de la première importance, de la première valeur, que l'on ne suggèrera pas en évoquant Shelley ou Hölderlin ou Chopin ou Turner ou Wagner".

Słuchając niedawno cyklu odczytów profesora Folkierskiego na temat „Beniowskiego", trafiłem na podobne jak u Backvisa studia światła, nieba i ruchu. W obu analizach tak bardzo „europejskich" znajdujemy tę samą zdolność łączenia spojrzeń uczonego z subtelnością artysty; dało to już kiedyś literaturze polskiej świetne przykłady „artystycznej" krytyki, jak choćby uwagi Norwida o Słowackim. Dla oddania stylu rozprawy Claude Backvis pozwolę sobie zacytować jeszcze parę zdań z rozdziału o elementach świetlnych w Słowackim.

„Quant à la comète, si elle est beaucoup moins fréquente sans être rare, elle possède une valeur poétique fécondante, une valeur „créatrice de mythe" beaucoup plus intéressante. Ces „étoiles à la queue de clarté" dont il est question dès la 'Duma sur Wacław Rzewuski' ont trouvé dans l'oeuvre de Słowacki des échos inopinés. Je ne songe pas seulement à la fusée, de Ladawa, si adorablement et si complaisamment décrite, comète artificielle qui illumine un instant le ciel nocturne pour la plus grande confusion de Mademoiselle Aniela quand elle rentre de son rendez-vous avec Beniowski"...

Wkład anglosaski do książki reprezentuje przede wszystkim ciekawy przekład prof. Williama Rose'a „Ojca zadżumionych". Nie znam poprzedniego tłumaczenia na angielski poematu o tragedii w El Arish; wspomina o nim prof. Rose w nocie wprowadzającej do jego tłumaczenia. Przekład Rose'a wydaje się posiadać w tonacji i brzmieniu tę samą co w oryginale pozornie monotonną linię narastającego cierpienia, matowy wydźwięk rezygnacji w opowiadaniu nieszczęsnego ojca. Praca tłumacza ma wszelkie cechy dobrego smaku artystycznego i daje czytelnikowi anglosaskiemu dobre pojęcie o środkach poetyckich Słowackiego. „No metre in English can quite reproduce the flowing pathos of the original, — pisze prof. Rose w nocie wstępnej — in particular of the female rhymings in which our speech is so poor; so I make no defence for the use of the iambic pentameter, or for the freedom used in rhyming — a slight departure from Polish. Only this need to be said, that with few exceptions line matches line in the narrative, and that something very near to a literal version has been my aim." Cel ten niewątpliwie autor tłumaczenia osiągnął dając znów — w swej długiej działalności naukowej i pisarskiej — przykład umiłowania tematu i naukowej solidności.

Trudno mi jest analizować szczegółowo wszystkie pozycje obcojęzyczne (jest ich ogółem siedem) w księdze.

*) „Juliusz Słowacki — 1809 — 1849", Księga zbiorowa w stulecie zgonu. The Polish Research Centre Ltd. Londyn, 1951. Stron 448. Cena 25 s.

Oceną prac włoskich (Giovanni Maver, Egisto De Andreis i Enrico Damiani) niech się zajmą pióra bardziej do tego przygotowane. Również nie mógłbym podjąć się oceny rozprawy Maryli Falkówny pt. „Indian elements in Słowacki's thought". Sprawa to niewątpliwie dość ważna, mająca odbicie w twórczości Słowackiego i innych z jego epoki — wychodzi to także poza ramy moich możliwości.

Zmierzając do polskich prac książki podkreślić trzeba bogactwo tematów, różnorodność zagadnień i na ogół wyrównany, wysoki poziom piszących. Są wśród nich uczeni przedwojennej klasy uniwersyteckiej, są także ludzie młodszego, a raczej dziś już średniego pokolenia. Wśród tych ostatnich dobra, interesująca i sumiennie przeprowadzona analiza dr J. Pietrkiewicza, ucznia prof. Rose'a na temat metafory ruchowej w poezji Słowackiego. Drobniejszego formatu i nieco przyczynkarska jest nieduża praca wileńskiego polonisty Zbigniewa Folejewskiego o Słowackim w krajach skandynawskich. Do wileńskich spraw pozwolę sobie jeszcze wrócić pod koniec niniejszych uwag.

Bogactwo tematu polskiego w książce reprezentują takie pióra, jak prof. Folkierskiego, prof. Z. Zaleskiego, prof. Strońskiego, prof. Kościałkowskiego. Ciekawa praca Wacława Lednickiego o tematach rosyjskich w twórczości Słowackiego, czy „prawnicze" wątki w dziełach poety (M. Giergielewicz) uzupełniają się nawzajem i dają korzystny obraz rozwoju myśli polskiej na obczyźnie w okresie tak nieprzyjaznym dla kulturalnego myślenia.

Chciałbym zatrzymać się nieco nad jedną pozycją — nad pracą Michała Pawlikowskiego pt. „Król-Duch jako pomnik cywilizacji łacińskiej". Robię to nie tylko ze względu na wartość samej rozprawy i znajomość tak niełatwego tematu, ale także i po to, by podkreślić zjawisko ciągłości, niesłychanie osobliwe w polskich warunkach i rzadkie, zjawisko kontynuacji pracy przez parę pokoleń w rodzinie. Na przykładzie rodziny Pawlikowskich można doszukiwać się pewnych linii charakteru kultury polskiej, broniącej się przed degradacją w warunkach nieustępliwej, powtarzającej się tragedii narodowej. Michał Pawlikowski, kontynuator prac ojca, jest postacią charakterystyczną dla londyńskiej emigracji polskiej — jest jej plamą jaśniejszą. W iluż to już miejscach Europy i po iluż to obozach, mieszkaniach prywatnych, barakach i salach wygłaszał Pawlikowski swoje, na wszystko inne głuche, zachwyty nad „Królem Duchem". Pracą taką najlepiej można realizować dziedzictwo ciągłości narodowej, ujęte w rozprawie Pawlikowskiego w ten sposób: „Kluczem narodowości polskiej nie jest ani paszport, ani język, ani urodzenie, ani koniunktura. Kluczem jest jej kultura narodowa polska w orbicie cywilizacji łacińskiej". „Otwórz i przeczytaj który z najspokojniejszych rozdziałów Ewangelii po polsku, a będziesz miała najwyraźniejszy obraz teraźniejszego ducha mojego" — cytuje Pawlikowski list Słowackiego do matki. Złotym zaś kluczem zagadnienia sztuki polskiej jest „Król-Duch". Nam, nie-specjalistom od jakiegoś jednego utworu, również bliskie są i inne dzieła. W oczach i w uszach mamy ciągle najpiękniejszą lirykę „Beniowskiego" czy „Hymn o zachodzie słońca" — dobrze jest jednak, tak jak Pawlikowski poświęcić całą niemal uwagę dziełu jednemu. Koncentracja taka nie mija bez śladu.

Wreszcie — po tylu pochwałach — jeden brak książki, może bardzo osobisty, może nawet niezbyt uzasadniony, ale przecież w opinii piszącego te słowa brak istniejący. Nie ma w księdze jubileuszowej pracy przedstawiającej rolę wileńskich elementów z okresu młodości w życiu i twórczości poety. Nie mogę jakoś przejść nad tym brakiem do porządku dziennego, mimo istnienia w księdze szkicu prof. S. Kościałkowskiego na temat poszukiwania wileńskich „Słowacjanów". Profesor Kościałkowski, tak bardzo z Wilnem zrośnięty i tak z szacunkiem zawsze wspominany przez parę pokoleń uczniów i studentów Polski niepodległej pisze na wstępie swojego szkicu: „Stosunek Mickiewicza i Słowackiego do Wilna jest najlepszym sprawdzianem twierdzenia, że nie miejsce urodzenia, nie ilość lat, spędzonych w danej miejscowości, lecz siła przeżytych doznań i natężenie skojarzeń uczuciowych stanowi o łączności duchowej naszej z tym lub owym miejscem zamieszkania". I dalej: „Słowacki urodzony w Krzemieńcu w roku 1809, przeżył w Wilnie o wiele więcej czasu od Mickiewicza, jako stały jego mieszkaniec... Lecz pomimo to na zawsze pozostał „Krzemieńczaninem": nie Wilię, lecz krzemieniecką Ikwę, będącą „z Niemnem w olbrzymiej rozterce" uważał za usymbolizowanie jakby swojej poezji, — Krzemieniec przede wszystkim, nie Wilno, darząc najserdeczniejszym wspomnieniem i najczulszym słowem".

Wszystko to prawda i nawet największy patriotyzm lokalny faktu tego nie podważy. Mimo to odczuwa się brak poważniejszej pracy, ukazującej Słowackiego na tle otaczającej go przez długie lata kultury i atmosfery wileńskiej.

Od tej strony czytając książkę, wpadłem z wielkim ukontentowaniem na pracę M. Giergielewicza „Elementy prawa u Słowackiego", znalazłszy tam przynajmniej ułamek tego, co Wilnu się należy w stulecie Słowackiego, fragment spraw uniwersytetu. Nie załatwia to jednak w całości spraw zagadnienia, które bez wpadania w ckliwy regionalizm można było potraktować naukowo. Kiedy pisałem, że zarzut ten jest niewyraźny, miałem na myśli to, że taki „zarzut" jest łatwy do sparowania. Nie o to mi idzie, że ktoś pretensję tę załatwi trzema słowami: trudno dać wszystko. Tego tematu, w szerokim, syntetycznym ujęciu — moim skromnym zdaniem — pomijać nie wypadało. Okres wileński w życiu i pracy Słowackiego pozostawił głęboki ślad na kulturze polskiej i chociaż obrazowanie, słownictwo i nawet tematyka poety chętniej się zwraca ku ziemiom Ikwy — Wilno głęboko leży o podstaw świadomości kulturalnej poety.

Mogą pod tym względem istnieć nieporozumienia nawet na „wysokim szczeblu" naukowym. Tak np. ostatnio prof. Folkierski omawiając owo nieporównane zakończenie liryczne księgi czwartej „Beniowskiego" widział co innego, niż ludzie związani z Wilnem. „Gdy księżyc pełny jak srebrna różyca — gmachów gotyckich biały blask rozleje — w te, gdzieśmy niegdyś chodzili aleje." Prelegent widział w tym obraz krzemieniecki, słuchacze na sali obraz Jaszun. Ja osobiście nigdy nie miałem wątpliwości że tu mowa o Jaszunach, choć je widziałem tylko raz w życiu. Wilno, uczone, polonistyczne, winne jest naszym wieszczom tak dużo, że nie można tego tematu zbyć marginesem. W latach niepodległości żyło się na każdym kroku „Słowacjanami" i „Mickiewiczjanami" z codziennego dnia, od ulicy Zamkowej i domów profesorskich naprzeciw Świętego Jana aż po sale uniwersyteckie, po salę Śniadeckich. Dzielenie poetów, przydzielanie im regionów „zamieszkania" według ilości wątków poetyckich zdaje się nie jest słuszne. Trzeba mieć na uwadze także to, czym kultura żyła i żyje. Dla Wilna, będącego integralną częścią polskości, Słowacki jest tak samo prawie nierozłączny jak Mickiewicz

Mieliśmy w naszym niepodległym pokoleniu krótki, zbyt krótki jak na historię kultury okres, okres żywiołowy w chłonięciu tych wartości. Od ław szkolnych, które dla piszącego te słowa kojarzą się w Wilnie zawsze z

---

HENRYK MIRZWIŃSKI

D A R

Wiatr obsiał me pola
bławatkiem, kąkolem
na żniwo błękitne twym oczom;
ze śpiewu skowronka
na chabry, na kąkol
sznur pereł się stoczył
dla ciebie.

Na łące mej jasno
od dzwonków i jaskrów
byś drogę znalazła i nocą;
z topolu biedronki
na jaskry, na dzwonki
sznur pereł się stoczył
dla ciebie,
dla ciebie...

Lecz łąka ma pusta
a pole nieżżęte:
pierścionek i perły —
dar nieprzyjęty.

zachwytami Stanisława Cywińskiego dla Norwida i Słowackiego, poprzez niezwykle intensywny okres „Reduty" z „Księciem niezłomnym" w arkadach uniwersyteckiego dziedzińca, z Celą Konrada u bazylianów i prelekcjami literackimi — wszystko było częścią myśli i dzieła, co się tu zaczęło przed półtora wiekiem.

Jest to jak już wspomniałem parokrotnie „pretensją negatywna" — raczej o winy niepopełnione przez ludzi, co się przyczynili do tego cennego i pięknego dzieła, które wyminęło i zostawiło daleko wszelkie szablony oficjalnych „ksiąg pamiątkowych" z okresu przedwojennego. Ta „księga ubogich" hołdu dla poety jest żywa!

Widać w niej jak żywotna jest wciąż kultura polska na wygnaniu. Jest to dobre świadectwo i dobra odpowiedź wrogom, którzy dni nasze liczą, mając wciąż na oku cel ostateczny — zagładę i kultury polskiej i po niej — całego narodu jako podmiotu najważniejszych wartości życia.

Nie wydaje się, żeby — mimo tak pięknych i ciekawych prac cudzoziemskich w omawianej książce, otwierała się szeroka droga europejska dla ekskluzywnej mimo woli literatury polskiej. Szansa Chopina, którego Claude Backvis tak trafnie zestawia ze Słowackim niestety nie powtarza się wobec równie wielkich artystów słowa. Mniejsze pod względem wielkości umysłu dzieła rosyjskie, znane są światu — między innymi dzięki temu, że Rosja nie znikła z karty politycznej świata, kiedy nas chowano przy akompaniamencie afektowanych westchnień i szybko obsychających łez.

I dlatego, kończąc uwagi o dziele naukowym i literackim, trzeba myśl zwrócić do spraw codziennych jak chleb powszedni, do walki o nasze miejsce dla piękna, które poza ziemią ojczystą istnieć nie może.

WANDA K.

T Y F U S

Fragment ze wspomnień o Rosji Sowieckiej

ŚNIEG grudniowy matowym całunem przykrył uzbekistańską ziemię. Mrok coraz gęstszy otaczał rozległe, tonące w puchu bawełniane pola, rzucając granatowe cienie na pobrużdżone przez stopy ludzkie i sanie drogi, na przycupnięte przy ziemi niskie ziemianki tubylców, na opustoszałą kołchoźną zagrodę. Ciszę wieczorną przerywały od czasu do czasu poszczekiwania psów, lub skrzyp czyichś ciężkich butów po utartej i zamarzniętej ścieżce. Gdzieniegdzie widać było poprzez zabrudzone, mikroskopijnie małe okienko słaby płomyk naftowego kopciucha. Uzbecki auł spał.

Na skraju wsi taka sama jak inne chata. Z ziemi, niska, mała, z dachem stożkowatym. Okno ziemianki częścią zabite deskami, częścią zalepione gazetą. Przez nieszczelne drzwi wdzierał się do wnętrza uparty wiatr i przejmujące zimno. Wnętrze izby ciemne, niekiedy tylko rozjaśnione żywszym blaskiem płonących bawełnianych badyli i jakichś dziwacznych, zmieszanych z nimi, kolących i zeschłych krzewów. Kiedyś było tu coś, co można było nazwać piecem, dziś zostało tylko marne tego wspomnienie, a przez otwór w dachu całe ciepło uchodziło na zewnątrz.

Na słomie, ściśnięci z braku miejsca, w barłogach z resztek pościeli i ubrań, siedzieli ludzie. Było tu dziesięć osób jeszcze parę dni temu, dziś grupa ta zmniejszyła się znacznie. Dziewiętnastoletni Staszek, który na skutek „amnestii" niedawno wrócił z Kołymy i dołączył do reszty rodziny będącej na zesłaniu, a złożonej z sześciu osób, najmocniejszy i najbardziej zaradny, wyruszył przed dwoma tygodniami do Taszkentu, by sprzedać resztki uzbieranego wspólnie mienia: jakiś zegarek, obrączkę, czyjś ostatni pierścionek. Małą Isię z matką przedwczoraj odwieziono do szpitala na plamisty tyfus. Ojciec ich w tej chwili przykrywa właśnie płaszczem leżącego w kącie Leszka. Dziecko ma silną febrę, purpurowe wypieki na policzkach, załzawione od gorączki oczy. Tuż obok brata leży zwinięta w kłębek Zosia, naprzeciwko pod oknem pani Borysławska z synem, dalej Mama i ja.

Wstałam, podrzuciłam wiązkę suchych badyli i żywiej zadrgał płomień w palenisku. Mama koc lichy ściągnęła z nóg, rozprostowała ścierpnięte członki i zaczęła krzątać się koło posiłku. W milczeniu śledzimy Jej ruchy. Leszek jęknął z cicha. Odwrócił głowę w przeciwną stronę, widocznie raził go słaby blask ognia. Dopiero rozjaśniły nam się twarze na widok ciemnych, dużych, niezgrabnych, a postnych pierogów, które Mama dymiące wyciągała z „czoguna" i każdemu sprawiedliwie wydzielała należną porcję.

Wieczór to był wigilijny. Grudzień 1941 roku. Z miską pełną pierogów usiadłam u nóg Mamy. Przytuliłam głowę do Jej wychudzonych kolan. Drobną ręką pieszczotliwie gładziła moje włosy, potem objęła mnie i pocałowała w czoło. Poczułam słone łzy na wargach. Coś dławiło i dusiło w krtani. Wiedziałam, że myśli nasze w tej chwili były te same: przy Ojcu uwięzionym przez katów, o którym nie było znaku życia, przy bracie gdzieś tam o tysiące mil od nas przebywającym i samym. Jakżeż wtedy właśnie niezmiernie wdzięczna byłam Bogu, że w tych ciężkich momentach mojego życia pozwolił mi być z Nią razem, że mi Ją zostawił.

Nie składałyśmy sobie życzeń. Przyszłość była mglista przed nami, przeszłości nie warto było wspominać, by nie pogłębiać przytłaczającej już i tak atmosfery. Nie padło wiele słów tego wieczora...

Ogień dogasał. Zaczęliśmy mocniej otulać się w bety i układać do snu. Nie wiem, czy mógł kto usnąć szybko tej nocy. Długo jeszcze potem słyszałam świszczący, ciężki oddech starego hrabiego i czułam przy sobie rozpaloną twarz Matki.

* * *

Mały koń z trudem ciągnie sanie. Stąpa powoli. Siedzący na sianie woźnica o skośnych oczach i wystających policzkach, w niewielkiej futrzanej czapce na głowie, leniwie przeżuwa tytoń, spluwając od czasu do czasu w obie strony. Puścił wolno lejce, koń sam ciągnie utartym szlakiem. Nie spieszy im się. Obaj odwalają kołchoźną pracę bez gorliwości.

Patrzę na chorą, leżącą bezwładnie na wiązce słomy, najdroższą twarz, na rozszerzone źrenice, krwiste rumieńce i trzymam Jej obie ręce w swoich dłoniach. A koszmarne myśli gwałtem cisną się do głowy: może to już ostatni raz widzę Ją, może to Jej ostatnia droga? Powoli podnosi powieki jakby przeczuwając moje myśli i uśmiecha się, uśmiechem słodkim, kochającym. Nie mogę opanować płaczu.

— Nie zostawisz mnie? Nie odejdziesz? Powiedz, że wyzdrowiejesz i wrócisz ze szpitala — proszę.

— Na pewno, dziecinko. Miej ufność w Bogu — odpowiada słabym głosem.

Coś jakby otucha wstąpiła we mnie. Krok za krokiem stąpa mizerny koń. Droga dłuży się niesamowicie. Ostatnie promienie zachodzącego słońca chowają się za niebotyczny szczyt góry.

Jeszcze tylko pareset metrów i wjeżdżamy do miasteczka, na skraju którego stoi murowany i większy od innych budynek — „bolnica". Pomagam Mamie zejść z sanek i razem z Uzbekiem sadzamy ją na ławie pod ścianą. Jakaś dziewucha, czerwona na twarzy, z głową okutaną chustką, w białym mocno już przybrudzonym kitlu, otworzyła z trzaskiem drzwi i zwróciła się do mnie:

— Bolnaja tifom?

Kiwnęłam potakująco głową. Kazała nam czekać. Odprawiłam Uzbeka, otuliłam Mamę kocem, oparłam Jej głowę na swoim ramieniu i czekałam. Upłynęło pół godziny... godzina. Słyszę nierówny oddech chorej i wściekła jestem na swoją bezsilność wobec tej dziczy, która tak bezlitośnie może obchodzić się z ludźmi. Wreszcie zawołano nas. Duża izba z drewnianą podłogą, w koło ławki Na jednej z

nich leży jakiś cierpiący. Sadzam Mamę na ławce. Rzekoma siostra każe mi chorą rozebrać. Po chwili przynosi duże czarne nożyce i widzę, że zabiera się do obcinania włosów. Nie pozwalam, robię to sama jak umiem tylko najdelikatniej. Teraz twarz Mamy wydaje się jeszcze drobniejsza.

Po tej operacji kazano mi wyjść. Ostatni pocałunek, uścisk serdeczny, parę ciepłych słów. Zamykam leniwie za sobą drzwi. Chwilę stoję niezdecydowana. Nie wiem, co z sobą zrobić? gdzie wracać? po co? Obchodzę szpital z przeciwnej strony, by przez okno zobaczyć wnętrze sali, gdzie kilka dni temu położono hrabiego z dwojgiem pozostałych dzieci. Duży jasny pokój. Po obu jego stronach, nogami do siebie leżą chorzy na barłogach ze słomy. Mężczyźni i kobiety razem. Widzę nieprzytomne oczy ojca Staszka. Za chwilę drzwi się uchyliły i wnieśli Mamę. Zobaczyła mnie. Uśmiechem i ręką dała do zrozumienia, bym poszła. Biedactwo, bała się, że będę zmęczona, że zmarznąć mogę. Pożegnałyśmy się oczami.

Wracałam wolno. Wolniej niż wlókł się kołchoźny koń. Mrok coraz gęstszy zapadał. Nie spieszyło mi się do „domu". Uzbierałam sporo suchych, kolących krzewów po drodze i późnym wieczorem dotarłam do chałupy. Tak jak stałam, w płaszczu gimnazjalnym, śniegowcach, zmęczona drogą i przeżyciami rzuciłam się na legowisko.

* * *

Zbudził mnie przejmujący chłód tego rana. W izbie przerażająca pustka. Obok mnie tylko pani Borysławska z synem. Staszka, który wcale nie dotarł do Taszkentu, nieprzytomnego jakiś Polak z powrotem przetransportował do naszego aułu, odwieziono także do szpitala.

Odwiedzam teraz całą siódemkę. Sprzedaję lub zamieniam ostatnie łachy za chleb, odrobinę masła lub cukru i zanoszę im to. Są marnie bardzo karmieni i głodni. Stoję tam nieraz całymi godzinami pod oknami i porozumiewam się z nimi na migi.

Odniosłam Mamie naszą poduszkę z Polski jeszcze, mały piernat i prześcieradło. Jest Jej teraz trochę wygodniej. Przynajmniej słoma nie kłuje i cieplej. Boję się o Jej biedne serce. W najlepszych warunkach przecież, w kraju jeszcze tak bardzo na nie cierpiała. Nie wiem jak przetrzyma kryzys, który doktór zapowiada już za kilka dni.

Wracam o zmroku, zbieram badyle i wieczorami rozpalam ognisko. Już i żarnami nauczyłam się manipulować, choć z wielkim trudem mi to przychodzi. Sypię garścią drobne ziarna zboża, obracam ciężkim kamieniem i wolno, bardzo wolno sączy się ciemna mąka. Potem dolewam wody i robię coś w rodzaju placka. Czasami rzucam się dosłownie na tę gorącą jeszcze „lepioszkę" i połykam ją, popijając wrzątkiem. Rzadko udaje mi się dostać kawałek prawdziwego chleba lub odrobinę mleka. Został mi tylko flanelowy koc. Słomę zabrano nam całą, ale nie dano nowej. Śpimy prawie na samej ziemi, od której przechodzi nas przejmujący ziąb. Do snu nie rozbieramy się wcale. Czuję coraz silniejsze łamanie i ból w stawach. Modlę się żarliwiej. Cała moja nadzieja i ufność w Bogu.

Syn pani Borysławskiej poszedł śladami tamtych. Zostałyśmy już tylko we dwie. Co dzień prawie przychodzi ktoś ze szpitala pytać o nasze zdrowie. Nie z troskliwości bynajmniej. Boją się jedynie rozprzestrzeniającej się, szczególnie wśród Polaków, epidemii. Wożono nas po ,,amnestii" przez miesiąc w transportach z północy na południe, nic więc dziwnego, że w tych okropnych warunkach rozpanoszyła się choroba w tak zastraszającym tempie.

* * *

Zosia przeszła szczęśliwie chorobę. Dwa dni temu odesłano ją do nas. Wygląda jak szkielecik. W chudej twarzyczce 12-letniej dziewczyny błyszczą tylko niesamowicie duże oczy. Słania się to jeszcze na nogach i marznie bardzo. Nie mamy jej czym odżywiać, by prędzej nabrała sił.

Dzisiejszego ranka, wychodząc do Akyr-Tiube, zostawiłam ją śpiącą w barłogu. Wzięłam jakąś starą jedwabną sukienkę, weszłam do pierwszej lepszej chłopskiej chaty. Dała mi za to baba trochę mąki, garść cennego cukru, troszkę śmietany i dwie butelki mleka. Nie wiem dosłownie gdzie pomieścić te skarby i jak je donieść do domu. Część oddzielam w zawiniątko i niosę do szpitala. Zadowolona zbliżam się znajomego okna. Nie widzę jednak matczynej głowy. Łapię kogoś z obsługi i pytam. Przenieśli ją do pokoju kobiecego i lepszych podobno warunków. Biegnę pod inne wskazane mi okno i widzę Mamę leżącą na łóżku. Śpi. Stara ,,babuszka", która na tej sali dogląda leżących daje mi znak ręką, bym odeszła.

Teraz kolej na rodzinę Staszka. Znów inne okno... i znów brak znajomej twarzy. I tym razem wskazano mi miejsce, gdzie przeniesiono starego hrabiego, ale nie była to już sala szpitalna a kostnica. „Staryk pamior", stwierdzono bez przejęcia i dodano do tego, by lepiej nie mówić na razie o tym żonie i Stachowi, bo nie za dobrze jeszcze się czują i kto wie jak zniosą.

Nie wiem jak stanę przed szybą Staszka, z jaką miną. Czy mnie stać będzie na słaby nawet uśmiech. Na szczęście wraca już do zdrowia. Choć wymizerowany i bez włosów, jest równie przystojny jak przedtem, blady tylko jak chusta. Widzę, że z trudem podnosi się na łóżku i wita się ze mną na migi. Lubimy się i nie wiem co dałabym za to, by w tej chwili, kiedy czuję się taka osamotniona i bezradna, wśród tylu coraz to nowych nieszczęść, on mógł być zdrowy, silny, decydujący za mnie.

Jak powtórzyć tę wiadomość Zośce? Co zrobić z pogrzebem? Kto się tym zajmie? Ciężkie to były sprawy, zdaje się za ciężkie dla moich kilkunastu lat.

Śnieg sypał gęsty, coraz gęstszy. Przez dziurawe śniegowce i dziurawe w nich pantofle czułam jak przedostawało go się coraz więcej do wewnątrz. Nogi miałam przemarznięte, a zgrabiałe ręce z trudem utrzymywały zwój uzbieranych po drodze łodyg. Żeby tylko nie zbłądzić...

* * *

Z kąta słychać równomierne, słabe pochlipywanie Zośki. Pani Borysławska rozpala ogień. Ktoś stuka w okno. Jeden z naszych „łagierników" wszedł do izby. Smutna wiadomość szybko rozeszła się po aule i mężczyźni Polacy, których tu jest niewiele zaofiarowali nam swoją pomoc. Jutro przyjdzie ich trzech, pomogą nam pochować i może uda im się nawet jakiś krzyż drewniany sklecić, choć tu z drzewem beznadziejnie. Ani trumny, ani księdza.

* * *

Dziwny to naprawdę kondukt pogrzebowy. Ciało zmarłego owinięte w prześcieradło niesie dwóch słabych, dopiero co z więzienia wypuszczonych rodaków. Sine, sztywne kończyny sterczące spod białego płótna napełniają mnie przerażeniem. Trzeci mężczyzna niesie krzyż i łopatę. Razem z panią Borysławską podtrzymujemy słaniającą się Zośkę.

Cmentarz na białym wzgórku widoczny jest z całej okolicy. Brniemy w śniegowym puchu po kolana, pozostawiając za sobą już jako tako utartą ścieżkę. Wieje silny wiatr. Łopata z trudem wchodzi w zmarzniętą ziemię i nieprzyjemnie rozlega się miarowe i twarde jej uderzenie. Płytko wykopany grób przysypujemy grudkami zmarzniętej ziemi. Klękamy i odmawiamy wszyscy „Wieczne odpoczywanie". Płaczę razem z Zośką.

Wracamy we trzy. Śnieg dmie jak rzadko dotąd. Nie widzimy już nawet drogi, idziemy na oślep. Po odległym ujadaniu psów wnioskujemy, że musi tu być w pobliżu ludzka siedziba. Idziemy w kierunku, skąd dobiegają odgłosy. Zośce brak sił. Bierzemy ją pod ręce i wleczemy za sobą. Słabiutkie bardzo światełko i ledwo widoczne kontury chaty... Pukamy. Pytamy o nazwę wsi... Nie nasza. Jeszcze tego tylko brakowało, by zbłądzić. Chętnie położyłabym się przy drodze i usnęła, ale wiem czym to grozi i bronię się przed tym. Krok za krokiem... — Nie becz, Zosiu, przecież to już niedaleko — pocieszam.

* * *

Matka leży bez przytomności. Nie poznaje nawet mnie. Patrzy rozszerzonymi oczami w moim kierunku, porusza wargami, ale mnie nie dostrzega. Dziś — jutro będzie kryzys — powiedział doktór i to zadecyduje o wszystkim.

Nie mogę usnąć. Wiem, że w tej chwili los Mamy Pan Bóg waży na szali życia. Chciałabym siłą modlitwy

i uczucia przeważyć tę szalę na moją stronę. Chciałabym czas, dzielący mnie do świtu, popchnąć, dowiedzieć się prawdy. I usłyszeć, że żyje. Jak niemiłosiernie długa jest noc.

Słyszę czyjeś kroki i energiczne stukanie w okno. Zrywam się, biegnę do drzwi. Tysiące myśli powstają w głowie: kto to? jaką mi wieść przynosi? złą czy dobrą? Słyszę bicie własnego serca. Po omacku szamocę się z drzwiami, których nie mogę otworzyć...

Wiadomość zupełnie niespodziewana. Pan J., przedstawiciel polskiego wojska w tej okolicy pyta, czy to ja jestem córką jego przyjaciela, z którym razem siedział w więzieniu. Chce się nami zaopiekować i prosi, bym się natychmiast z nim skomunikowała. Przesyła pieniądze. Nie mogę się jednak wybrać w drogę, muszę przeczekać krytyczny okres. Dziękuję za pamięć i pomoc. Proszę, by mi powiedziano, jakiego rodzaju wiadomość ma pan J. o Ojcu. Niech powiedzą prawdę, choćby najgorszą. Ta niepewność bowiem co do życia dwóch najbliższych i najdroższych istot jest tak nieznośna, że nie wiem jak dłużej taki stan przetrzymam. Pocieszają mnie.

Czyż mogłam przypuszczać wtedy, że kłamią?

Cała rodzina Stacha w komplecie wróciła do „domu".

Mama przetrzymała kryzys. Poznaje mnie już przez okno i uśmiecha się. Ma apetyt. Chce mi się teraz szaleć z radości i krzyczeć. Dostałam niedawno pierwszy list od naszego kuzyna z Buzułuku i kilkaset rubli. Kupuję, co mogę, aby Ją odżywić. Czuję się szczęśliwa, bogata z tymi otrzymanymi pieniędzmi w kieszeni.

Postanowiłam razem z panią Borysławską przenieść się z aułu do Akyr-Tiube, wynająć tam izbę, jakąś lepszą, i naszych rekonwalescentów (bo i jej syna także) już do nowych, lepszych warunków sprowadzić.

Oczarowane tym projektem zaczęłyśmy szukać izby i znalazłyśmy małą, ale przytulną, tuż obok toru kolejowego. Pożegnałyśmy rodzinę Stacha, wynajęłyśmy „teleszkę", przewiozłyśmy resztę gratów i zabrałyśmy się do bielenia. Za parę dni mieli tu zjechać nasi chorzy, trzeba było zatem zrobić jakie takie legowiska ze słomy i nazbierać opału co najmniej na kilka dni.

Ostatni to był dzień naszych przygotowań. Pod wieczór z wiązanką „opału" na plecach i butelką mleka zjawiłam się pod szpitalnym oknem. „Babuszka" przy Mamie ma niewesołą minę. Wynosi jakąś miskę, bandaże. Mama jest smutna, skarży się, że się czuje gorzej.

Byłam wtedy bardzo zmęczona całodziennym wysiłkiem i powiedziałam słowa, których nigdy nie mogłam potem odżałować:

— Nie marudź, przecież jutro wracasz do mnie. Jest wszystko w porządku. Nie martw się, widzisz jak bardzo jestem skonana.

Pożegnałyśmy się. Wzięłam swój tłumok na plecy i powlokłam się w kierunku nowego mieszkania.

W izbie było ciepło. Zasnęłam od razu.

* * *

Przebudziłam się z ogromnym bólem głowy. Było mi gorąco i zimno na przemian. O — jak boli gardło. Pani Borysławska dotyka mojej głowy. Jest przerażona. Z trudem siadam na barłogu. Wiem, że jest niedziela i że za chwilę moja współlokatorka pojedzie po syna i Mamę.

— Proszę niech Pani ubłaga doktora, by zostawił Mamę jeszcze na jakiś czas w szpitalu i by obok łóżko, które — zdaje się — jest puste, zarezerwowali dla mnie. Jestem pewna, że mam tyfus. Tu nie miałby się kto Mamą opiekować, a tak będziemy razem.

Kiwnęła głową potakująco i znikła za drzwiami. Wyciągnęłam z tłumoka nożyce i zabrałam się do obcinania na krótko moich włosów. Spakowałam dokumenty, złoty łańcuszek, ostatni brylantowy pierścionek do podręcznej torby i wyczekiwałam powrotu pani Borysławskiej.

Po godzinie zjawiła się wraz z synem i doktorem z miejscowej „bolnicy". Był to ludzki człowiek i z sercem. Zbadał mnie, ale kazał poleżeć w domu ze dwa dni. Zdaje mu się bowiem, że to tylko angina. Gdyby jednak temperatura podskoczyła, trzeba mnie natychmiast odtransportować do szpitala.

Pytam o Mamę. Źle, bardzo źle... Opadam bezwładnie na posłanie. Nic już nie rozumiem. Targają mną najgorsze przypuszczenia... Jak to gardło boli nieznośnie.

* * *

Pani Borysławska i Romek, który leży obok mnie i szybko wraca do zdrowia, są bardzo serdeczni i troskliwi. Pani co dzień kupuje coś dla Mamy i zanosi do szpitala. Ale nie ma polepszenia.

Strasznie dłuży mi się czas leżąc. W dodatku łamią stawy. Żebym już prędzej wróciła do zdrowia...

* * *

Ubieram się. Wkładam wszystko co mam, na siebie, byle było ciepło i słaniając się po izbie zmierzam do drzwi. Dłużej nie zniosę niepewności. Muszę Mamę zobaczyć.

— Niech mnie pani nie zatrzymuje, ja muszę tam być dzisiaj.

Nie nalegała dłużej. Narzuciła swoje palto, chustą omotała głowę. Idzie ze mną. Podtrzymuje mnie. Jestem wyczerpana i z trudem brnę po śliskiej drodze. Stajemy i idziemy dalej.

Widać już szpital. O — już okno... Pani Borysławska kładzie mi rękę na ramieniu. Wiem, że mi chce coś powiedzieć, ale głosu wydobyć nie może. W końcu wykrztusiła:

— Jej już tu nie ma. I wyciągnęła rękę w kierunku ośnieżonego i dobrze mi znanego pagórka.

Patrzę na nią bezmyślnie i zrozumieć nie mogę. Nie ma... Nie ma... wiruje mi w głowie. Po chwili jęk głęboki, bolesny wyrwał się z piersi...

Tą samą drogą białą, zasypaną brnęłyśmy po raz wtóry na szczyt wzgórza...

Obok dawnego krzyża stanął tam drugi, mały, bliźniaczo podobny...

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

„PRZYMIERZE"

Zofia Kossak: PRZYMIERZE. Powieść biblijna. Londyn, 1952. Veritas. Stron 341.

Nowa powieść Zofii Kossak jest opisem dziejów Abrahama. Dla powieściopisarza historycznego, katolika, temat Abrahama musi być nęcący. Epoka bardzo odległa, pełna fascynujących zagadek cywilizacyjnych, z których wiele rozwiązała archeologia i historia w ostatnich dziesięcioleciach. Odkrycie i zbadanie ruin miasta Ur, w którego istnienie do niedawna nauka nie wierzyła, odkrycie cywilizacji sumeryjskiej, poprzedzającej babilońską, odkrycie przedgreckiej cywilizacji egejskiej i jej odgałęzienia filistyńskiego, postępy egiptologii od czasu odkrycia grobu Tutankhamena, zbadanie cywilizacji hettyckiej — wszystko to rzuca zupełnie nowe światło na epokę, w której pojawia się Abraham.

Na skrzyżowaniu tych cywilizacji a zwłaszcza na skrzyżowaniu trzech z nich, trzech prawdopodobnie najstarszych cywilizacji ludzkich: sumeryjskiej, egejskiej i egipskiej koczuje szczep semicki późniejszych Hebrajczyków. Życie takiego szczepu w swoich zasadniczych rysach nie mogło różnić się wiele od życia szczepów pasterskich, jakie do dziś dnia spotyka się na wschodzie.

Na tle przenikania się wielkich cywilizacji starożytnego wschodu i wynikającej stąd mozaiki wierzeń, wędrowny szczep hebrajski reprezentuje nikły pozornie ale najtrwalszy i najbardziej rewolucyjny cywilizacyjnie motyw monoteizmu. Rodzi się kilka niełatwych pytań. Na ile Bóg Jedyny, uważany przez obcych za boga plemiennego Hebrajczyków, był dla nich samych uniwersalny? Ile w monoteizmie hebrajskim było przekazu odwiecznych a zagubionych tradycji ludzkości a ile wkładu patriarchów? Pytania trudne, ale dla pisarza nie do obejścia.

A wreszcie postać samego Abrahama jako człowieka, postać poprzez opowieść biblijną rysująca się wcale nie prosto, krwista a zarazem natchniona, nie dająca się wytłumaczyć tylko historią i teologią.

Zadanie niezmiernie trudne choć

nęcące. Okazało się ono, naszym zdaniem, zbyt trudne dla znakomitej pisarki. Zofia Kossak najlepiej pisze o tym, co odczuwa bezpośrednio. Po wspaniałej autobiograficznej „Pożodze" dała doskonałe powieści historyczne o szlachcie polskiej, żeby przypomnieć tylko „Złotą wolność" i „Beatum scelus". Z „Krzyżowcami" weszła na tory dla talentu swego najeżone niebezpieczeństwami. Tło historyczne przygniatać zaczęło wyraźnie postaci, pierwiastki dydaktyczne zwyciężać nad artystycznymi, ilustracja nad dramatem. W „Bez oręża" autorka zaczęła zbliżać się do popularnej hagiografii, w „Przymierzu" widzimy raczej opowieść niż powieść.

Może zresztą takie i było założenie Zofii Kossak. Może nie pragnęła dać czego innego jak opowieść zbliżającą współczesnego czytelnika do Starego Testamentu. Są pisarze, którzy z powodzeniem uprawiają ten rodzaj literacki, jak np. w Anglii de Wohl, autor powieści o św. Tomaszu z Akwinu. Wystarczy jednak porównać jego powieść o św. Helenie „The Living Wood", z powieścią na ten sam temat Evelyna Waugh, by uzmysłowić sobie całą różnicę między tymi dwoma rodzajami literackimi. „Przymierze" jest zdecydowanie w rodzaju de Wohla nie Waugh.

Tło historyczne jest potraktowane bardzo sumiennie, motyw religijny z całym pietyzmem. Ale cechy życia mają tylko postaci drugoplanowe, anegdotyczne. O postaciach, które znamy ze Starego Testamentu nie dowiadujemy się z „Przymierza" nic nowego. Przyroda, opisywana dość dokładnie, nie daje obrazu, nie urzeka. Brak też jakichś nowych pomysłów artystycznych. Powieść zbliża postaci biblijne do czytelnika współczesnego ale równocześnie zaciera ich kontury, łagodzi jaskrawość barw. Pierwszy z patriarchów wychodzi niemal na współczesny typ człowieka prawego, przebranego w burnus i sandały.

Mniejszego kalibru pisarzowi nie stawialibyśmy tych zarzutów. Poprzestalibyśmy na stwierdzeniu, że wyszła dobra książka popularyzacyjna. „Przymierze" jest opowieścią ładną i książką pożyteczną dla emigracji. Nie jest powieścią. która pozostanie jako trwały dorobek literatury polskiej. Zofia Kossak na pewno napisze lepsze.

W.

„ROCZNIK POLONII"

ROCZNIK POLONII 1952. Pod redakcją B. Jeżewskiego. Londyn, 1952. Taurus. Stron 214.

Trzecie, nowe wydanie „Rocznika Polonii" góruje nad poprzednimi pod wieloma względami. Opuszczono dział życiorysów, dość przypadkowy i nie zawsze poważny. Całość ujęto w trzy działy, bardzo przejrzyście ułożone. Pierwszy dział podaje wszechstronne dane o organizacjach polskich, zarówno starej jak i nowej emigracji. Wśród tych danych znajdują się nazwiska członków władz naczelnych a niekiedy nawet członków zarządów poszczególnych kół. Ilość danych jest nierówna, zależnie od tego, kto nadesłał dane. Całość jednak daje przegląd obfity żywszych ośrodków polskich w kilkunastu krajach i kilku częściach świata. Z porównania obecnego rocznika z dawniejszymi widać jak przesunął się za ocean punkt ciężkości emigracji polskiej.

Druga część zawiera informacje o prasie polskiej w wolnym świecie. a nawet przynosi jej statystykę. Zestawienie to jest aktualne; szereg pism zniknęło w ostatnim dwuleciu, przybyły natomiast wydawnictwa australijskie i nowe amerykańskie.

Trzecia część zawiera spis nazwisk. Zasadniczo jest to spis nazwisk wymienionych w części organizacyjnej i prasowej. Dodano pewną ilość innych nazwisk, raczej przypadkowych i dowolnych. Przy każdym nazwisku podano, gdzie go szukać w poprzednich częściach rocznika. Dla wielu czytelników lektura tego spisu będzie nader interesująca, ponieważ poinformuje ich, co się stało ze znajomymi, widzianymi ostatni raz w Europie przed kilku laty.

Wydawnictwo rocznika poprawia się i rozwija, co dowodzi, że jest on pożyteczny. Należy mieć nadzieję, że w następnym wydaniu dane dziś niepełne będą uzupełnione, rozkład informacji bardziej równomierny a spis nazwisk rozszerzony.

Dla organizacji polskiej lub działacza polskiego posiadanie „Rocznika Polonii" staje się już dziś koniecznością.

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

BILANS WYSTĄPIENIA DO ONZ

W listopadzie ub. r. trzy polskie centralne społeczne organizacje a mianowicie: Zjednoczenie Polskiego Uchodźstwa Wojennego, Światowy Związek Polaków z Zagranicy i Stowarzyszenie Polskich Kombatantów wystosowały do Przewodniczącego Ogólnego Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych, do Sekretarza Generalnego ONZ oraz do 52 delegatów państw niekomunistycznych rezolucję w sprawie gwałcenia przez reżim komunistyczny w Polsce Deklaracji Ogólnej Praw Człowieka. Tekst deklaracji został podany do wiadomości publicznej przez prasę oraz nadany do Polski przez szereg rozgłośni.

Do biura ZPUW w Paryżu napłynęły pisma od niektórych delegacji potwierdzające odbiór apelu oraz zapewniające o sympatii dla Polski. Oto kilka przykładów:

Delegacja Stanów Zjednoczonych dziękuje trzem organizacjom polskim za memoriał, który był przeczytany z uwagą. Jednocześnie delegacja zapewnia, że od dawna śledzi z niesłabnącą uwagą łamanie praw człowieka, czego dowodem są załączone do pisma teksty przemówień sekretarza stanu Achesona, delegata USA Coopera i ambasadora Austina.

Delegat chiński pisze: „Podczas mej pracy w Organizacji Narodów Zjednoczonych często mówiłem o konieczności przywrócenia wolności Polsce i wskazywałem na obecnych polskich delegatów jako na zdrajców ich ojczyzny i narodu. Mam nadzieję, że Panowie nie zaprzestaną swej rycerskiej walki. Moja delegacja zawsze będzie wspomagać Polaków w walce o wolną Polskę".

Delegat grecki ustnie zapewnił p.o. prezesa W. Olszewskiego o sympatii jaką naród grecki żywi dla narodu polskiego walczącego z okropnościami komunizmu oraz podkreślił, że już kilkakrotnie na forum Narodów Zjednoczych wskazywał na gwałty dokonywane przez komunistów na narodzie polskim.

Delegacja szwajcarska zapewniła o swym żywym zainteresowaniu problemem przedstawionym w rezolucji, a delegacja chilijska w ciepłych słowach określiła swą sympatię dla sprawy narodu polskiego.

Ogółem napłynęło kilkanaście pism potwierdzających odbiór rezolucji.

Niezależnie od tego pod koniec sesji Ogólnego Zgromadzenia trzy wymienione wyżej organizacje polskie złożyły w biurach Sekretarza Generalnego ONZ 318 uchwał, które napłynęły od organizacji polskich z 15 krajów Europy, Ameryki i Afryki. Rezolucje te — zgodnie z apelem skierowanym do ośrodków polskich przez ZPUW, Światpol i SPK — popierają w całej rozciągłości apel trzech central społecznych, domagają się przywrócenia niepodległości Polsce i wprowadzenia do ONZ prawdziwych przedstawicieli Polski. „Tak jak za czasów okupacji niemieckiej — stwierdza większość rezolucji — nie reprezentował narodu polskiego gubernator Frank ani gauleiter Greiser, tak nie reprezentuje dziś Polski w okresie okupacji sowieckiej ani Bierut. ani wojskowy gubernator Rokossowski, ani przedstawiciel w ONZ Wierbłowski." Pewna ilość uchwał zaopatrzona jest podpisami nie tylko władz poszczególnych organizacji ale również pracowicie zebranymi podpisami członków. Najwięcej uchwał wpłynęło z Wielkiej Brytanii i z Niemiec.

Biuro Sekretarza Generalnego Narodów Zjednoczonych potwierdziło odbiór pliku rezolucji. Według procedu-

ry przyjętej w Narodach Zjednoczonych wzmianka o rezolucji będzie podana do wiadomości wszystkich państw należących do ONZ.

Atmosfera paryskiego Ogólnego Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych nie bardzo sprzyjała wystąpieniom polskim. Uwaga delegatów skupiała się raczej na zagadnieniach Bliskiego Wschodu, Niemiec i taktyki w dziedzinie rozbrojenia. Tym niemniej jednak akcja polskich czynników społecznych, która szła w parze z wystąpieniami polskich czynników politycznych umocniła w wolnym świecie wrażenie o solidarności Polaków i ich jednomyślności, jeśli chodzi o sprawy zasadnicze. Metoda, jaką przyjęły polskie centrale społeczne udowodniła, że w polskim życiu społecznym na emigracji istnieje ład, skoro organizacje polskie w poszczególnych krajach działają za pośrednictwem central i są z nimi zgodne.

* * *

P. o. prezes Zjednoczenia Polskiego Uchodźstwa Wojennego W. Olszewski złożył wizytę delegatowi Grecji na Ogólne Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych ambasadorowi J. Politisowi, by mu podziękować w imieniu polskich organizacji społecznych na uchodźstwie za kilkakrotne wystąpienia w obronie sprawy polskiej, a zwłaszcza za poruszenie na forum publicznym sprawy Katynia.

Amb. Politis zapewnił, że przy każdej stosownej okazji będzie piętnował gwałty komunistyczne na narodzie polskim.

PO LIKWIDACJI IRO

Zrzeszenie Polskiego Uchodźstwa Wojennego zamierzało złożyć Ogólnemu Zgromadzeniu Narodów Zjednoczonych w Paryżu zasadniczy memoriał w sprawie zastąpienia opieki prawnej IRO przez nowoutworzone organy międzynarodowe. Niestety jednak powikłania jakie powstały w związku z taktyką Wysokiego Komisarza w czasie Zgromadzenia, a w szczególności nieporozumienia wynikłe na tle raportu o położeniu uchodźców opracowanego przy pomocy Fundacji Rockefellera uniemożliwiły potraktowanie zagadnienia uchodźstwa beznamiętnie i rzeczowo.

Komitet Wykonawczy ZPUW nosi się z zamiarem zwołania konferencji przedstawicieli organizacji opieki wszystkich uchodźców zza żelaznej kurtyny, by ustalić wspólne stanowisko i zwrócić się do rządów, a zwłaszcza do rządu Stanów Zjednoczonych o należyte uregulowanie problemu opieki nad uchodźstwem politycznym.

ZEBRANIA W BRADFORDZIE I LEEDS

W sobotę 16 ub. m. Koło Stronnictwa Narodowego w Bradfordzie zorganizowało zebranie dla zaproszonych gości, na którym sekretarz Komitetu Politycznego SN p. Antoni Dargas wygłosił referat na temat polityki i działalności Stronnictwa Narodowego w związku ze sprawami międzynarodowymi. Po referacie mówca odpowiadał na szereg stawianych mu pytań. Zebraniu przewodniczył kierownik miejscowego Koła p. Z. Karnej.

W niedzielę 17 ub. m. odbyło się w wypełnionej sali Klubu Polskiego w Leeds zebranie publiczne zorganizowane przez Stronnictwo Narodowe. Zebranie otworzył i przewodniczył na nim p. M. Modelski. Przemówienie wygłosił przybyły z Londynu p. Antoni Dargas. Główną część swego przemówienia poświęcił on omówieniu położenia międzynarodowego i działań politycznych polskich na terenie zagranicznym. Zebranie zakończyło się dyskusją, która wykazała duże zainteresowanie poruszonymi przez prelegenta tematami zarówno z dziedziny międzynarodowej jak i wewnętrznej polskiej, wobec ostatnio dokonanego rozszerzenia Rady Politycznej.

„SMOCZA JAMA“

W Toronto, Kanada, powstał klub artystyczno-literacki pod nazwą „Smocza Jama“. Kierownikiem klubu jest znany naszym czytelnikom p. Wacław Iwaniuk.

„Smocza Jama“ wystawiła ostatnio szopkę polityczną pióra p. Iwaniuka. Dużym powodzeniem cieszą się także podwieczorki przy mikrofonie urządzane staraniem klubu. Najbliższą projektowaną większą imprezą ma być wieczór autorski Kazimierza Wierzyńskiego, przebywającego stale w Stanach Zjednoczonych.

LISTY DO REDAKCJI

W PÓŁPRZYSIADZIE

Szanowny Panie Redaktorze,

„Brygadowe Koło Młodych Pogoń“ wydaje od czasu do czasu pismo przeznaczone dla uczniów „kompanii Szkoły Oficerskiej“ dowodzonej przez ppłk Z. Czarneckiego. W piśmie tym — a mam na myśli nr 12/24/ wydany w grudniu 1951 r. — znajdujemy szczegółowe opisy z uroczystości składania przysięgi przez młodych pierwszobrygadzistów oraz nieco materiałów ściśle wojskowych.

Na stronie 49 w rubryce pt. „Warto zobaczyć...“ znajdujemy następującą recenzję filmową:

„Film p.t. Rommel — desert fox“ — o marszałku niemieckim Rommlu dcy „Africa Korp“.

Szczególnie ciekawy jest początek filmu — akcja komandosów brytyjskich. Warto zwrócić uwagę na strój i oporządzenie oddziału wypadowego, posuwanie się w terenie, dojście do celu, rozpoczęcie akcji i jej przeprowadzenie.

Zachowanie się w akcji — bez nawoływań, każdy z góry wie co ma robić i gdzie iść. Proszę zwrócić uwagę na postawę strzelecką w czasie walki, **pół przysiad na szeroko rozstawionych nogach** — ułatwiającą zwroty i pozwalającą na stałą gotowość do skoku.

Uważny widz zauważy w dalszym ciągu filmu **kilka cech ogólno-żołnierskich oraz fragmentów ilustrujących przepisy konwencji genewskiej“.**

Muszę przyznać, że rzadko kiedy czytałem większą bzdurę. Ostatnie zdanie chyba napisane zostało w „półprzysiadzie na szeroko rozstawionych nogach“.

Z poważaniem

P. Hęciak

P.S. Podkreślenia moje.

DO PRENUMERATORÓW WE FRANCJI

Administracja „Myśli Polskiej“ podaje do wiadomości Prenumeratorów i Czytelników naszego pisma, mieszkających we Francji, że z dniem 1 kwietnia br. tak prenumerata „Myśli“ jak i cena pojedynczego numeru wzrosną. I tak: 1) cena pojedynczego numeru z 50 na 60 fr., 2) prenumerata dla członków SN, kwartalna z 210 fr. na 250 fr., 3) dla niečłonków z 250 fr. na 300 fr.

„MYŚL POLSKA“

założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata półroczna 18 sh lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol.